

BERBERYJSKIE KOZY

(Tłumaczenie z angielskiego).

16

— Benszaalal wychodzi, w nocy z madame?...
— Ty kłamco!...

Achmed nic nie odrzekł, tylko odsunął się o kilka kroków od muła. Nie obraził się, że go nazwano kłamcą. Każdy człowiek kłamie, myślał, bo i dlaczegooby nie? Ale powiedział prawdę tym razem. Romui był szalonym, żeby mu nie wierzyć.

— Słyszysz? — rzekł sir Claude z gniewem.

— Słyszę, m'sieu.

— Wiem wszystko o tobie. Madame z gospody mi powiedziała.

— Madame przy Słonej górze jest „chamelle” — odparł Achmed. — Jeżeli m'sieu wierzy takiej kobiecie. Kobiecie, którą każdy arab...

— Dość! Nie oczerniaj kobiety.

— Jeżeli m'sieu nie wierzy, nie powiem już ani słowa. Ale ja zawsze mówię prawdę, żaden arab nie jest tak prawdomówny jak ja. Niech m'sieu znajdzie takiego. Powiadam, że madame spaceruje z Benszaalalem w nocy. I dlaczego nie? Kto nie pragnie widzieć księżycy nad pustynią? Madame lubi takie rzeczy. M'sieu, nie. I dlatego m'sieu śpi a madame znalazła kogoś, kto jej towarzyszy. Nie może wychodzić sama, a Benszaalal nie jest ubogim arabem. Jest oficerem. Tak więc madame wybrała Benszaalala. To bardzo proste.

Ostatnie słowa jak ostry nóż ugodziły w serce sir Claude.

— Dlatego m'sieu śpi!...

Tak, to było bardzo proste. W tej chwili sir Claude uczuł się pierwszym i ostatnim z głupców. Kiedy mężczyzna dojdzie do takiego poczucia, jeżeli jest prawdziwym mężczyzną, pierwszym jego pragnieniem jest chęć podniesienia się z upadku, zajęcia znowu tronu swej wysokości. Musi to uczynić chociażby kosztem największego swego cierpienia, a może nawet zbrodni.

— Gdzie jesteśmy?

Achmed wyciągnął ramię.

— M'sieu widzi tę skałę tam na południe podobną do leżącego wielbłąda?

— Widzę.

— Z tej skały można widzieć wioski El-Akbara.

Sir Claude zatrzymał muła.

— Zsiądę tutaj — rzekł zsuwając się z siodła. — Zabierz muła.

— M'sieu nie pójdzie sam?

— Owszem. Zostaniesz tutaj i będziesz na mnie czekał. Daj mi żywność.

— Jeżeli m'sieu chce zejść muszę pójść z nim razem, żeby pokazać drogę.

— Nie powiedziałem, że zejść. Dawaj żywność!...

Przewiesił strzelbę przez ramię.

— Ale jestem odpowiedzialny za m'sieu. Kiedy się ściemni!...

— Achmed! — rzekł nagle sir Claude. — Oto jest sto franków.

Wyjął banknot i wetknął go w chciwą dłoń przewodnika.

— Jeżeli spróbujesz iść za mną nie dostaniesz więcej nic. Jeżeli zostaniesz tutaj, jak ci mówię, dam więcej. Rozumiesz?...

— A jeżeli... jeżeli m'sieu nie wróci?

— Masz zegarek?

— Mam m'sieu.

— Jeżeli do północy nie będę z powrotem, uczynisz co zechcesz. Au revoir.

— Au revoir, m'sieu. Bou voyage! — odrzekł przewodnik, trzymając muła i patrząc na sir Claude, zdążającego wielkimi krokami w stronę góry.

Sir Claude szedł dopóki skały zakryły go przed Achmedem. Wtedy stanął i spojrzał wokoło siebie. Słońce już się chyliło i na górach, które nie były w okręgu jego ostatnich promieni rozpościerała się dziwna szarość. Ich огоłocone zbocza i nagie wierzchołki wyglądały zużyte i znużone jak twarz starca trudami życia. Samotny człowiek westchnął ciężko. Myślał o radości, która go tak niedawno napędzała w tej skalistej twierdzy. Wtedy cieszył

się jej dzikością, jej oddaleniem od cywilizowanego świata. Krew silniejszym tętnem krążyła w jego żyłach w odpowiedzi na wiatr, który go owiewał, na słońce, które zamieniało rozsypane kryształki w drogie kamienie. Doznawał wrażenia takiego zdrowia i siły w tym afrykańskim powietrzu w tej pustce i swobodzie.

A teraz — teraz czuł wstręt i nienawiść do tego wszystkiego, co go jeszcze wczoraj cieszyło. Uczucie to zrodziło się w nim ze wstrętu i nienawiści do ludzi, których ten kraj był ojczyzną.

Żeby kobieta, którą stawiał tak bardzo wyżej od samego siebie mogła uczynić tę rzecz niepojętą, żeby pozwoliła jednemu z tych brumatnych ludzi — zacisnąć zęby i zacząć iść w stronę skały podobnej do leżącego wielbłąda.

Szedł jak nieprzytomny.

Pochodzenie Kitty, jej wychowanie, życie, upodobania — wszystko zdawało się zadawać kłam prawdzie. Czy dostała pomieszania? Czy była do głębi zdeprawowana? Jak mógł tak długo się łudzić? Jej zachcianki były zachciankami dziecka. Kim ona była?

Niewiele ludzi nazwałoby sir Claude człowiekiem wrażliwym, był nim jednak i bardzo w stosunku do żony. Tego dnia, kiedy rozmawiał z doskonale panującym nad sobą Benszaalem, doznał wrażenia, że żona jego jest w pobliżu. Wtedy to właśnie uczynił ruch, żeby zsiąść z muła. Spahis go odgadł, poznał, że to chwila krytyczna, lecz nie stracił przytomności, pozostał nieruchomy, z największym spokojem wytrzymał badawcze spojrzenie anglika i przeszkodził mu tym sposobem spełnić swój zamiar tak pewnie, jakby go był przywiązał do siodła.

Na widok tego niewzruszonego spokoju sir Claude uznał całą niedorzeczność swego przypuszczenia, zawstydił się sam siebie i odjechał. Jednakże po chwili uczucie, że Kitty była blisko, kiedy rozmawiał z Benszaalalem powróciło i nie opuszczało go przez całą drogę do hotelu. Wbiegł na schody i znalazł pokój pusty. I wtedy uczuł, że wie... wie niemożliwe.

Nie zawrócił do spachizy. Kitty myślała, że nie potrafi być subtelny, wszystkim, lecz nie subtelny. Nie wiedziała, nie odgadła do czego był zdolny w niezwykle okolicznościach.

Na widok pustej sypialni, powstał w nim nowy człowiek, spokojny, panujący nad sobą. Stał chwilę nieruchomo poczem przeszedł do pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Zielone zaluzje zakrywające szklane drzwi wychodzące na werandę, chroniły pokój przed zewnętrznym okiem, lecz z pokoju można było widać wszystko. Sir Claude otworzył okno i stał za zaluzją czekając, z rękami opuszczonymi, z zaczerwionymi zmęczeniem oczami wpatrzonymi w bielejący gościniec.

Zobaczył wreszcie idącą kobietę z bladą twarzą. Widział, jak spoglądała z niepokojem w jego okno, jak się skradła przez dziedziniec i słyszał ciche, ostrożne stąpanie, jakby kroki złodzieja, a potem lekki skrzyp drzwi. Powróciła, jego żona. Usłyszał klucz obracający się w zamku.

Wtedy dopiero spostrzegł, że krople potu spływają mu z czoła.

Podszedł do umywalni i zanurzył twarz w wodzie. Ręce mu drżały, widział, że pragnął zabić kobietę, którą tak często pięścił.

Spojrzał na nie z ponurem zdziwieniem.

Od tej chwili zdziwienie już go nie opuściło.

Teraz szedł znowu z wolna pod górę do wielkiej skały, z której będzie mógł widzieć trzy wioski El-Akbara.

Kiedy tam doszedł słońce już zaszło, lecz niebo na zachodzie jeszcze się czerwieniło. Siadł na kamieniu i spojrzał w pustynię, chciał odpocząć i zebrać myśli.

Czuł się ogromnie znużony, samotny i opuszczony.

Położył rękę na strzelbie.

W dali, pomiędzy wielkimi, bujnymi palmami zobaczył cienkie smugi dymu wznoszące się z afrykańskich chat, ptaki krążące nad minaretem, kilka wielbłądów idących drogą na południe. Obok wielbłądów posuwały się szybko małe zakapturowe igitki, noszące tej samej rasy co spahis, ciemnej rasy Wschodu.

Uczyniło mu się prawie słabo. Kitty była kością jego kości, ciałem jego ciała, a teraz

dzieliła ich przepaść. On stał po jednej, ona po drugiej jej stronie, tam gdzie ciemne rasy Wschodu roją się pod pałacem słońcem Afryki. Tajemnie, w nocy przekroczyła tę przepaść podczas kiedy on spał snem szaleńca.

Myślał, że jej nienawidzi, i ścisnął strzelbę. Tak, nienawidził jej, i miał do tego prawo, mówił sobie ponuro.

Nie było ani jednego anglika, któryby jej nie potępił.

Nawet teraz nie mówił sobie, że doszła do ostateczności. To co wiedział, było aż nadto. Gdyż teraz wiedział na pewno, że podczas gdy rozmawiał z Benszaalalem nad rzeką ona tam była. Była z arabem, a kiedy mąż jej nadjechał, ukryła się przed nim.

To wystarczyło. Pragnął, żeby ją był zabił w jej kryjówce.

Pustynia stawała się ciemniejsza. Powstał z kamienia i odwrócił się, żeby wejść w dół do wąwozu.

XII.

Benszaalal siedział w kącie maurytańskiej kawiarni brunatnej wioski El-Akbara. Kawiarnia znajdowała się nad drogą, wiodącą w pustynię, naprzeciw arabskiego cmentarza — nagromadzenia pionowych kamieni, wkopanych w wysuszoną słońcem ziemię, bez ogrodzenia, chroniącego przybytek umarłych. Przed wejściem do kawiarni stała trzcinowa altana, w której kilku arabów grało w domino. Lecz wewnątrz nie było nikogo z wyjątkiem spahisa i usługującego chłopca. Kiedy niekiedy jakiś arab przechodził мимо drzwi, jeden czy dwóch zaglądał nawet wewnątrz i uroczysto powitali spahisa, lecz on zdawał się nie widzieć ani słyszeć. Z oczami, utkwionymi w podłogę popijał kawę, paląc papierosa za papierosem. Wszelkie oznaki gniewu, który mu zmienił twarz w czasie rozmowy z Achmedem, znikły z niej bez śladu. Wyglądał spokojny, pogrążony w myślach, lecz namiętność nim targała, i pomimo pozornego spokoju i senności rozmyślał z napięciem.

Benszaalal posiadał umysł żywy, lecz nie głęboki. Tam, gdzie chodziło o jego interes, był przenikliwy i najzupełniej pozbawiony skrupułów. Pomimo, że może nie potrafiłby być subtelny i cierpliwym przez dłuższy przeciąg czasu, wiedział jak i kiedy się zataić, jak tego już nieraz dowiódł w życiu. Lecz miał wadę, która często niweczy arabską dyplomację, dawał się unosić namiętności, a z nastaniem spokoju spoglądał na gruzy.

Pojął teraz swój błąd co do Achmeda. Przewodnik zdradził go na pewno przed Romui'm, tym wysokim, jasnowłosym strzelcem berberyjskich koz, który szedł spać przed wschodem księżycy, zostawiając swą śliczną żonę, swą lesną wiewióreczkę, cudną rożyczkę, swą Fatinę z oczami jak turkusy, z rączkami białemi jak srebro, sarnę, słuchającą serenady spahisa, lub siedzącą z nim nad rzeką. Benszaalal czuł wielką pogardę dla Romui'ego — pogardę kulturalnego muzułmanina dla niekulturalnego europejczyka, ale musi wziąć go w rachubę teraz, po popełnionym błędzie i stłumieniu wściekłości, która go spowodowała.

Co Romui uczyni?

Benszaalal miał swoje własne przekonanie o cudzoziemcach, oparte na jego stosunkach z francuzami poznaczonymi w Algierze i w czasie dwukrotnego pobytu w Paryżu. O Anglikach mało co wiedział. Wiedział, że to wielki naród, przypuszczał że są bardzo bogaci. Wyobrażał ich sobie mieszkających w kraju północnym, wśród gęstej, żółtej chmury, którą nazywali „mgłą”. W takim kraju krew krąży wolniej, myślał. Gdzie niema słońca, skąd może być ogień w człowieku?

Wiedział dobrze, co by uczynił lub starał się uczynić arab, gdyby usłyszał to, co Achmed z pewnością powie, a może już powiedział. Byłby zabił lub starał się zabić kobietę, która go zhańbiła i tego, który ją namówił. Ale Angliki nie są podobni do arabów, pozwalają swym kobietom chodzić samym, rozmawiać i śmiać się z każdym napotkanym mężczyzną. Dla araba wolność kobiet Zachodu jest źródłem ustawicznego zdziwienia i pogardy dla ich mężów. I właśnie skutkiem tej pogardy zastanawiał się głęboko. Wiedział co by uczynił będąc na miejscu sir Claude, lecz nie wiedział co on uczyni.

(Ciąg dalszy nastąpi).